Tom XVII. Nr. 16.

1. grudnia 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

# DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

## Bezręki.

### Powieść litewska.

Dawnemi bardzo laty, u progu jednego kościółka wiejskiego na Litwie siadywał dziad siwy bez ręki prawej; modlił się ze łzami i nieśmiało prosił o jałmużnę. W dniach święta lub odpustów gdy się lud cisnął tłumnie, inni ubodzy, inne dziadki odpychali bezrękiego, łajali mu i ubiegali grosz jałmużny, głośno wzgardę okazując koledze, a wtedy rzewniej płakał dziadek, a siwa broda trzęsła się od łkania. Znał go lud z całej okolicy i Litwy, wiedział jego smutną historję, i niejeden litował się nad nieszczęśliwym, ale nie jeden odwracał się pogardliwie, widząc w nim sprawiedliwą karę Bożą. Dziś, Bóg wie gdzie rozsypały się popioły tego dziada, Bóg wie czy stoi i ten kościół boży, gdzie przesiedział ostatnie dnie gorzkiego żywota, dusza jego już może odpokutowała grzechy, a lud na Litwie jeszcze pamięta o nim i opowiada sobie jego historję.

Wyśpiewali ją i opisali ci, co jej podsłuchali a pięknie spiewać i pisać umieją; i z wami moi mili podzielą się Litwini, rodni bracia gadką swoją.

Otóż był sobie maleńki sierota bez ojca. Ojca tego nieszczęśliwego ludzie powiesili za złe bardzo sprawy, a na sierotę padła hańba i nędza. Lichy dobytek zniszczał, chacina stara się zawaliła, a wdowa z sierotą poszła w świat zawodząc, bo rodzinie wisielca ludzie żałowali i żebranego chleba. Źle to bardzo, nie po chrześcijańsku! nie powinno spadać na sieroty nieszczęście ojca, i nie powinno zamykać się serce na niedolę bliźnią. Sierota się nieraz walał po śmieciach żydowskich, głodny i nagi, a matka chora jęczała pod płotami; żyd czasem obiecał lub dał kąsek jaki, ale za to namawiał sierotkę na złe i do kradzieży pierwszą pokazał ścieszkę. Nareszcie biedna matka jak chorzała, tak i umarła pod gołem niebem w środku wsi prawie, sierota siadł przy niej zanosząc się od płaczu, a ludzie się zeszli i gwarzyli nad trupem Na wstyd chrześcijanom nikt nie myślał dać deski na trumnę, płachty na pokrycie wdowy wisielca! Bóg zesłał jednak anioła; przejeżdżał właśnie tamtędy kapłan staruszek i zatrzymał się koło zbiegowiska. Dopytawszy się, z gniewem zgromił nieludzką gromadę, wśród której człowiek umiera na drodze, ukląkł nad ciałem i głośno za duszę zmarłej modlić się począł. Przykład zawstydził i wzruszył serca, zabrano ciało, znalazła się czysta odziewa, i trumnę sporządzono i pochowano po chrześcijańsku i za duszę westchnięto.

Ksiądz poczciwy i święty człowiek, wziął sierotkę małą do siebie i po ojcowsku opiekował się dzieckiem. On to w jego zdziczałe serce siał ziarna cnoty, garnął słodyczą do siebie, nauczał o Bogu i czytać, i do mszy św. służyć i pracować jak mogły siły dziecięce. Chłopczyna kochał księdza jak anioła bożego, służył mu i był bardzo szczęśliwy. Ale nie długo było tego szczęścia sieroty. Ksiądz ów usnął raz w modlitwie i nie obudził się więcej, Bóg go zabrał do siebie. Chłopczyna ledwie żył z żalu. Nastały inne rządy, inni ludzie, już nie sługiwał do mszy, nie lubiony, popychany, poszedł paść trzody.

Pociemniało życie sieroty; samopas, nieraz w złem ręku, rósł i psuł się bardzo; dobre nasiona cnoty zarosły chwastem, do próżniactwa, do zwady, do gry, rozpusty, nawet kradzieży odezwała się pochopność. Jednem słowem sierota wyrósł na wielkiego urwisa. Sprzykrzywszy sobie pracę porzucił ją i poszedł gdzie go nie znano i zgiąwszy nogę we dwoje, poobwijawszy rękę, udał kalekę, wziął torbę i poszedł, głośno wyjękując, po próżniaczym dziadowskim a nieuczciwym chlebie. Co wytumanił, przehulał i przepił, i nieraz mu się dobrze działo. Ale i źle dziać się poczynało, bo tak dawał pan Bóg, który jeszcze z tego grzesznika chciał poprawy.

Pewnego razu, ostrej zimy, zaszedł udany kaleka do pięknej wioski, i pod drzwiami porządnej chaty stanął. Zaczął się modlić, ale coś był osłabł, mróz mu prawie odjął siłę w nogach i głód się odzywał. Chwiać się począł, głos mu zamarł w piersiach i upadł pod drzwiami chaty. Miłosierni i poczciwi ludzie mieszkali w tej zagrodzie. Wybiegli, wnieśli biedaka do ciepłej świetlicy, położyli na własnem łożu i cucili do życia ze łzami litości. Ubogi był zemdlały, a Bóg mu zesłał niby sen jakiś. Zdawało się mu że widzi swoją matkę biedną, swojego księdza świętego wśród grona aniołów, a oni smutnie nad nim się pochylali i niby grozili żałośnie. Otrzeźwiony otworzył oczy i zobaczył koło siebie miłą jak macierzyńska twarz gospodyni, poważne oblicze gospodarza, niewinne twarze dzieci, zdumiał się, zapłakał i serce jego roztopiło się od głębokiej żałości jakiejś.

Gospodarze pytali go dobrotliwie, a on wyspowiadał im szczerze wszystkie dzieje swojego życia, i sieroctwo i chwilę szczęścia i grzechy i kalectwo udane. Szczera była spowiedź i szczery żal biedaka, rad był z duszy zostać znowu uczciwym i płakał jak dziecko, wspomniawszy smutek matki i swego świętego. Trzeba było kogoś coby podał rękę żałującemu i dźwignął go z tego brudu, którem się splamił. Dobrzy ludzie co go słuchali, uwierzyli mu i podali mu tę rękę dobroczynną, użaliwszy się sieroty. Choć sami mieli dziatki, przyjęli go za swego, podzielili się z nim chlebem i sercem i już go nie pu-

ścili ze swego domu. Młody sierota odżył innem życiem, znalazł rodziców, znalazł rodzeństwo, dach gościnny, pracę poczciwą. Dawne nasiona cnoty zaczęły znowu odkwitać w jego duszy. Bóg zawsze daje czas do poprawy i sierota się poprawił, wymodlony pewnie łzami matki i prośbą księdza. Z włóczęgi, próżniaka stał się chłopak roboczy, rześki, trzeźwy i usłużny. Opiekunowie serdecznie nad nim pracowali, jak nad własnem dzieckiem, aby z niego była pociecha ludziom i Bogu, dzieci ich nazywały go słodkiem imieniem brata, a on wdzięczny, kochał swych dobroczyńców jak ojca i matkę, radby był dla nich w ogień skoczyć, radby był pracować dla nich nie tylko za siebie, za wszystkich ale nawet za tę chudobę co robiła w polu, za tego wiernego stróża kudłatego co strzegł ich zagrody.

Trzy dzieweczki były w domu które on lubił jak brat, ale już najstarszą pokochał więcej jak brat, i dla niej byłby rad być najporządniejszym człowiekiem, aby sobie na nią zasłużyć. Kilka lat upłynęło młodemu sierocie jak w raju, był jak w własnym domu, jak dziecko rodziny; rodzice mu nawet obiecali najstarszą córkę i całe gospodarstwo, niebacząc na jego ubóstwo, jeno na poczciwość jego, przywiązanie i pracowitość. Młody czekał na swoje szczęście i chwalił Boga serdecznie.

Już za dwa tygodnie miało bydź wesele, a była to śnieżna zawalna zima; matka z córkami postanowiła jeszcze pójść na odpust o parę mil do cudownego miejsca, a że nie można było iść wszystkim, został się w domu ojciec, który będąc tkaczem, pilną miał robotę, dziecię paroletnie, najmłodszy synek i nasz młody. Pożegnano się serdecznie choć niewesoło. Dzień był dość pogodny, ale od zachodu powstała burza straszna z wichrami a potem zawieja śnieżna, jakiej litewskie bory nie pamiętały. I miotły śniegi całe dni trzy, nikt nie widział świata a góry narosły nad domy, nad wioski, przepadły drogi, potonęły drzewa. Po dniach tych, ciężko się musieli ludzie odkopywać z chatek a świat się zmienił od zasp straszliwych.

Co się działo w chacie osieroconych, któż to opowie? A co w sercach ojca i młodego? Posadzili sąsiadę u kolebki a sami jak tylko podobieństwo było wyruszyli szukać ukochanych swoich. Daremnie szukali tydzień i dwa, rwąc włosy z boleści, śladu nie było, oczywiście poginęły pielgrzymki cztery. Ledwie w miesiąc ciała znaleziono, które z pod śniegów wygrzebywały wilki. Straszny był ból i żałość pozostałych. Młody sierota omal nie oszalał. Zamiast wesela cztery trumny złożono do jednej mogiły pod kościołem. Ciężki był dopust Boży, gospodarz w samotnej chacie, przy osieroconem dziecku trawiony smutkiem rok ledwie przetrzymał; rozniemógł się mocno i wyglądał śmierci. Wierny jego druh, młody sierota nie odstępował go i doglądał mienia. Przyszedł dzień ciężki i ciężka godzina, gospodarz blizki już zgonu posłał po księdza, chcąc pojednać się z Bogiem i zwierzyć mu losy swej drobnej dzieciny.

Pracując za życia, uskładał on był sumę pieniędzy. Od śmierci żony i dzieci nosił zawsze na sobie trzos, który przeznaczał w myśli dla swojego syna; w chorobie kładł go pod głowę a było w nim tysiąc złotych. Chciał to biedny ojciec oddać księdzu, aby krzywdy nie miała kiedyś jego sierota. Noc nadeszła, księdza nie było widać, chory się zrywał i niepokoił, północ minęła, księdza jeszcze nie było, chory zaczął konać, modlił się nieustannie, nareszcie westchnął głęboko, ucichło i duch wyszedł z ciała. Dziecię spało w alkierzu, pies zawył na dworze, cisza się stała straszna w chacie, młody sierota, siedział niemy, z suchem okiem, jak skała... Zrazu żal, zgroza przejmowały jego duszę, potem przyszli myśli, ach! okropne myśli! Pokusa zbrodni jak gadzina zaczęła szarpać nim; trzos z pieniędzmi pod głową trupa skusił go; wahał się i niby całe piekło uczuł w piersiach. Nie było nikogo, nikt nie będzie wiedział, i skuszony powstał, stanął nad umarłym i świętokradzką ręką sięgnął pod wezgłowie. Już trzos, krwawe owe wiano dziecka było w jego prawicy i wyciągnąć je chciał szybko, w tem czy anieli boscy czuwali nad krzywdą sierocą, czy dusza ojca zbiegła z nieba bronić dziecięcego mienia, zasty-

gła ręka trupa ujęła dłoń zbójecką z trzosem i jak kleszczami ścisnęła ją silnie. Z krzykiem okropnej zgrozy padł złoczyńca przy łożu trzymany w objęciu umarłego, ręka jego stężała z trzosem i wyjąć jej nie mógł. W tem otwarły się drzwi, ksiądz z panem Bogiem stanął w świetlicy. Dziwnem zrządzeniem losu był to ten sam ksiądz, co nastał po owym świętym i znał sierotę jako największego hultaja. Snać pan Bóg sprowadził takiego świadka na ukaranie winnego.

— Biada mi! jęknął nieszczęśliwy.

— Zbójca! krzyknął kapłan przerażony.

— Zbójca! przebiegło to słowo do ust sługi i wieśniaków co przywieźli księdza. Zbójca! rozeszło się wszędzie; lud się zgromadził a w obliczu każdego malowała się zgroza. Ojca, dobroczyńcę dobił na łożu śmierci! wołali ludzie - ojcobójca będzie wisiał! zamęczyć go warto! i coraz większa fala napływa, każdy go pyta i bada, ksiądz o dawnych sprawkach świadczy, a winowajca darmo szarpie rękę z żelaznej dłoni trupa. Nareszcie w rozpaczy strasznej klęka i całując tę dłoń karcącą co go trzyma, z przysięgą wielką zeznaje swoją zbrodnię, że nie targał się na życie, tylko trzos pieniędzy skusił go; opowiada swoje życie, swoją miłość dla dobroczyńców, swoją boleść do szaleństwa po śmierci matki i narzeczonej, i jęczy żebrząc miłosierdzia nieba..

Cud widzieli ludzie a nie pojmowali go, wołali więc, że jako zbójca winien jest śmierci, ale powoli serca ich mięknąć zaczęły, przypomniano sobie jego wierną służbę i uczciwe we wsi życie. Udano się do sądu, i sąd złagodził wyrok śmierci, ach, ale jak złagodził!

Trzy dni winowajca przykuty do trupa wysiedział w świetlicy. Że mu wtenczas serce nie pękło, że nie zginął z zgrozy..., Bóg to tylko sprawił. Trzeciego dnia zabrano ciało z chaty, złożono na wozie, winowajca trzymany ręką trupią wlec się za nim musiał. Uderzyły dzwony, trumnę przodem niesiono, kapłani szli z spiewem, fala ludu i panów ruszyła za pogrzebem. Na cmentarzu stanęli, grób był już gotowy,

a obok grobu stał kat z toporem. Z drzeniem wyglądał każdy okropnej kary. Złożono ciało do trumny, winowajca zemdlał... a kat odciął mu prawą rękę, która z trupem poszła do grobu.

Odtąd przez pięćdziesiąt lat bezręki nieszczęśliwy, siada ze łzami pod kościołem i na cmentarzu i spłaca długi swoje pokutą ciężką. Bezrękiego zna rozległa okolica, a kto mu litośne słowo rzuci, on mówi:

— Bóg zapłać, droższe nad grosz wasze dobre słowo, wymódlcie mi u Boga śmierć szczęśliwą!... Bo już i pilno staremu z tej czarnej doli..., a łatwiej przejednać Boga jak ludzi.

Ciężko ale sprawiedliwie ukarał go Pan Bóg za udawane kalectwo, prawdziwem kalectwem, za chęć zbrodni, karą samej zbrodni. Wielki to grzech musi być ochota do kradzieży! Bóg jej nie lekceważy tak, jak to czynią ludzie, i to jego wielka łaska, że pozwolił grzesznikowi odpokutowć za życia. Daleko nieszczęśliwszy ten, co go niby kara na tym świecie nie dosięga..., ale po śmierci czeka straszliwa zapłata.

*E. B.*

# Skąpiec.

Znasz skąpca? postać nikczemna, wychudła,
Skóra i kości, nogi jak dwa szczudła;
Wyśmiewan wzgardzon od całego świata,
Tak pędzi w kącie życia swego lata
Jak skrzynia, która wzdy w kącie stawiamy,
Chociaż w niej złoto i srebro chowamy.

Miał dom lecz stary, co ruiną zagrażał;
Skąpiec czas długi na to nie uważał —
Kum radził poszyć, nie posłuchał kuma,
Zakręcił głową — żal mu grosza — duma —
Kilku złotemi byłby go ocalił
A sto dać przyszło, gdy się wkrótce zwalił.

Taką nam kolej przeznaczyły nieba,
Abyśmy bliźnim przysparzali chleba:

Umrze poczciwy, wszyscy go żałują,
Bo wszyscy społem jego stratę czują.
Skąpiec — raz w życiu ludziom pożyteczny:
Gdy go przed siebie powoła Przedwieczny.

Człek o zbawieniu myśli całe życie,
O nie się modli i jawnie i skrycie,
I tak kieruje ten swój żywot cały,
By Bóg wziął jego duszę do swej chwały;
Lecz skąpca — nigdy myśl taka nie wzrusza,
Dla niego złoto — tem, czem dla nas dusza.

A choć dla złota tyle ma miłości,
Nie on to panem swoich majętności.
Wszak tego, co ma, co zbiera, co kryje,
Przez całe życie nigdy nie użyje.
On tylko sługą, panami dziedzice
Co kiedyś jego zagarną skarbnicę.

# Pociechy i zmartwienia króla Zygmunta I. zwanego Starym.

Król Zygmunt I., jeden z synów Kazimierza Jagiellończyka, których jak wiecie z przeszłego opowiadania, ksiądz Długosz tak pięknie wychowywał, skoro został królem polskim, gorliwie nad tem pracował, aby Polskę uczynić potężną, a Polaków szczęśliwymi. Zrobił też przy Boskiej pomocy nie jedno dobre dla tej naszej ukochanej matki ojczyzny, bo oto jako dobry gospodarz i skarb królewski, w którym zastał pustki napełnił, i rozboje które się były zagnieździły, uśmierzył, i rząd poprawił. Toż miał ztąd nie małą pociechę, gdy ujrzał Polskę kwitnącą, ale wnet znalazły się i zmartwienia ciężkie

Chciwi a nienasyceni Moskale zagarnęli kawał ziemi litewskiej. Zygmunt donosząc ich carowi że został królem, upomniał go, aby zwrócił co zabrał. Car się postawił hardo. więc wojna. Ale nie dał Pan Bóg Moskalom pociechy zwycięztwa,

lecz temu po którego stronie była słuszność, to jest Zygmuntowi. Wnet tę pociechę przyćmiło nowe zmartwienie, gdy ni ztąd ni zowąd wpadli do Polski Wołosi i pustoszyć zaczęli wsie i miasteczka, ale i oni pobici i upokorzeni poddać się w końcu musieli. Aż oto znowu Tatarzy podmówieni przez Moskali wpadają na Podole i Wołyń; lecz i im także dało radę dzielne wojsko Zygmunta.

Nie małe to było szczęście, nie mała radość dla dobrego króla, że pan Bóg tak błogosławił wszędzie jego orężowi, ale nie długo mógł się cieszyć tem szczęściem, bo wkrótce nowe nastały kłopoty i zmartwienia. Car moskiewski rozjątrzony że nie może nic zrobić Zygmuntowi, związał się tajemnie z cesarzem niemieckim i z Krzyżakami, z których przyczyny za poprzednich królów już tyle krwi polskiej popłynęło, i stanęła między nimi ugoda taka, że na Polskę napadną, i ją rozszarpią. Jakoż zaraz potem car moskiewski z wielkiem wojskiem wszedł do Polski, opanował przez zdradę miasto Smoleńsk, i dalejże pchać się naprzód. Zygmunt też nie próżnował ale wysłał swoje rycerstwo. Wojska spotkały się pod Orszą. Polaków było dwadzieścia dziewięć tysięcy, Moskali ośmdziesiąt tysięcy. Bitwa trwała od południa do zachodu słońca. Polacy odnieśli zupełne zwycięztwo. Trupy moskiewskie zaścieliły pole bitwy. Polacy zabrali wielkę moc niewolnika, cały obóz i mnóstwo armat.

Wnet po całym świecie gruchnęła wieść o tem wielkiem zwycięztwie i cesarz niemiecki nie miał już ochoty bić się z Zygmuntem, owszem upewniał go przez posłów że zrywa z Moskalem a z nim chce być w przyjaźni, i nawet zaprosił go aby do niego przyjechał w odwiedziny. Wiedzieli Polacy że to fałszywa przyjaźń, i prosili swego króla aby się z Niemcami nie kumał, ale Zygmunt sam szczery i poczciwy, myślał że każdy taki; pojechał więc i dopiero tam się przekonał, że cesarzowi o to tylko chodziło, aby swojej rodzinie zapewnić kraje węgierskie, którym panował wówczas brat Zygmuntów, Władysław. Zygmunta zaś, zamiast dla niego co dobrego obmyśleć, chciał koniecznie zaplątać w wojnę z Turcją, ale to

mu się nie udało. Ledwo Zygmunt powrócił z owych odwiedzin, znowu miał gotowe zmartwienie, bo Moskale wpadli do Litwy i zabrali miasto Witebsk, lecz ich Polacy i tym razem pobili i odparli.

Cesarz niemiecki nie przestawał dręczyć Zygmunta swoją fałszywą przyjaźnią. On to namówił go aby się ożenił z niegodziwą boną Sforcją, włoską księżniczką. Była to kobieta co tylko o uciechach myślała, chciwa panowania, dumna, nienasycona. Toż jak została królową polską, opanowała zaraz całą władzę, a byle sobie dogodzić nie zważała ani na męża ani na kraj. Zabierała pieniądze przeznaczone na potrzeby matki ojczyzny, króla podburzała przeciwko panom, wszędzie siała niezgodę i podejrzenia, sprzedawała urzędy.

Niedość że przez złą żonę wielkie miał Zygmunt zgryzoty. Najwyższy wódz czyli mistrz krzyżacki Albert, choć to był siostrzeniec Zygmunta, wpadł do Prus królewskich czyli polskich. Pobity, miał już jechać do wuja i przepraszać go, wtem dowiaduje się, że nadciągła dla niego pomoc z Niemiec, znowu więc wojnę zaczął, ale znowu pobity został i musiał się poddać.

Drugiem i to bardzo wielkiem zmartwieniem dla Zygmunta było to, że w owym czasie wiara luterska zaczęła się bardzo rozszerzać. Miasto Gdańsk w Prusach najprzód się zlutrzyło, a mieszczanie zbeszcześcili tamtejsze kościoły katolickie. Zygmunt sam pojechał do Gdańska aby ukarać odszczepieńców, ale to nie wiele pomogło: wiadomo wszystkim ile to znaczy zły przykład, a najgorszy przykład dawali Gdańszczanom Krzyżacy, co ślubowali Bogu i Najświętszej Pannie wierność jakoby zakonnicy a teraz najpierw lutrami pozostawali i pożenili się, nawet ów ich mistrz Abert pojął żonę.

Zygmunt zdał na Boga sprawy religijne i przestał się w nie mięszać, Albert zaś przyjechał do Krakowa, przeprosił wuja na rynku, klęczący, w obec wielkiego mnóstwa panów i ludu i nazywany był odtąd księciem pruskim. Od tych to krzyżaków co się zlutrzyli i od owego Alberta siostrzeńca Zygmuntowego pochodzi królestwo pruskie, co teraz tak wzięło górę.

Przy tylu troskach i zgryzotach Zygmunt miał potem tę jeszcze pociechę, że księztwo mazowieckie z miastem Warszawą, którem dotąd osobni rządzili książęta, potomkowie owego Piasta kołodzieja, po śmierci ostatniego księcia połączyło się z Polską na zawsze. Drugą pociechą było dla niego, że widział kraj swój bogatym, kwitnącym, potężnym. On sam jako król mądry, umiarkowany, sprawiedliwy, byt tak szanowany, że różne narody jak np. Szwedzi co aż za morzem mieszkają, prosili go aby i nad nimi panował, czego on jednak nie przyjął, pragnąc żyć i pracować tylko dla swojej ukochanej Polski i Litwy. Chwały i blasku jego panowaniu przydawali wielcy ludzie, uczeni i dzielni wojownicy co wówczas żyli. Z tych zaś najsławniejszym był Jan Tarnowski, hetman, który odniósł nad Wołochami tak wielkie zwycięztwo pod Obertynem, że o niem było głośno w całym świecie.

Było to tak: Hospodar czyli książę włoski Piotr wpadł do Polski z ogromnem wojskiem. Hetman Tarnowski wyruszył przeciw niemu tylko z czterema tysiącami wojska. Po kilku drobniejszych utarczkach przyszło do bitwy pod Obertynem. Pięciu Wołochów było na jednego Polaka. Zdawało się im że na szablach rozniosą cały obóz polski i wszystko rycerstwo, ale nie tak się stało, bo Tarnowski kazał usypać okopy, a wozy pospinać łańcuchami i za wozami ustawił strzelców. Z za tych wozów strzelcy prażyli Wołochów okropnie a potem rycerstwo konne wypadło z za okopów i zgniotło ich na miazgę. Pięćdziesiąt chorągwi i tyleż armat dostało się w ręce zwycięzców.

Właśnie w owym czasie król Zygmunt fundował był do kościoła katedralnego krakowskiego ogromny dzwon, który do dzisiaj istnieje. W ten to dzwon pierwszy raz zadzwoniono gdy do Krakowa nadeszły listy od hetmana Tarnowskiego z doniesieniem o zwycięztwie pod Obertynem.

Wszystkie te zwycięztwa jednak, i cała owa sława, jaka przez króla Zymunta na cały naród polski spływała, szczęście poddanych, szacunek u obcych, wszystko to słabą tylko było

dla dobrego Zygmunta pociechą w porównaniu z zmartwieniami i troskami jakie go dręczyły. Gryzł się niegodziwem postępowaniem żony swojej, bolało go, że ona syna jego jedynego Zygmunta Augusta jak najgorzej wychowywała i psuła, a co najbardziej mu dolegało, że właśnie poddani nie szanowali go tak jak się należało. Powinni go byli czcić i słuchać jak prawdziwego ojca, ale właśni dla tego że był jak ojciec dobry i cierpliwy, słuchać go nie chcieli. Jednego razu kiedy król zwołał zdolną do boju ludność pod Lwów, żeby ztamtąd wyruszyć na Wołochów, to ci co się zjechali, zamiast się gotować do boju, rozłożyli się po wsiach i dalejże schodzić się codzień na narady a posłów do króla wyprawiać, że nie pójdą na wojnę, póki im pierwej to tego, to owego, nie pozwoli. Kilka dni stracili na niczem i rozjechali się w końcu ze smutkiem i wstydem, że zmartwili dobrego króla i łzy mu wycisnęli z oczu. Że zaś w całej okolicy wyjedli przez ten czas wszystkie kury, przeto ów zjazd pod Lwowem nazwano na śmiech wojną kokoszą. Wśród takich to goryczy i zmartwień umarł król Zygmunt w ośmdziesiątym drugim roku życia a czterdziestym drugim panowania.

Dopiero gdy go nie stało, poznali się na nim Polacy. Cały naród zaczął sobie przypominać jego cnoty i wszyscy po nim płakali rzewnemi łzami, a choć tam nikt nie nakazywał, rok cały naród nosił po nim ciężką żałobę tak, że ani piosenki ani muzyki przez ten rok cały nigdzie nie było słychać.

## Śledzie i ich połów.

Śledź jest to ryba morska i tylko w morzach przebywa, ale tak u nas jak i na całym świecie bardzo dobrze jest znana, bo śledzie solone rozwożą w beczkach po wszystkich miastach i miasteczkach na sprzedaż, i kto choć raz w życiu był na jarmarku, niepodobna aby śledzi przynajmniej nie widział, jeżeli ich nie kosztował.

W morzach przebywa niesłychana mnogość śledzi. Ludzie łowią ich co rok ogromnie wiele na swoje pożywienie, karmią się niemi wszystkie większe od nich ryby morskie, a przecie śledzi nie tylko nigdy nie zabraknie, ale owszem zdaje się że jest ich coraz więcej. Cóż powiecie na to, że raz w jednem miejscu ne brzegach Norwegji złapali rybacy dziewietnaście milionów śledzi; lekko licząc rozsełają ich na sprzedaż rok rocznie po tysiąc milionów, a mieszkańcy różnych krain nadmorskich i wysp, co tylko śledziami się żywią, zjadają ich drugie tyle. Gdy śledzie przypływają do brzegów skalistych i tam w miejscach zacisznych puszczają ikrę, robią taki łoskot, jakby lał deszcz gwałtowny, a woda morska aż gęstnieje od niezmiernej mnogości ikry i łusek które z siebie ścierają.

Co rok o jednym czasie, w lecie i w jesieni, przybywają śledzie do brzegów morskich naszej części świata jak szarańcza, ogromnemi kompaniami, które mają nieraz po kilka mil długości. Zkąd i dokąd one ciągną, tego nikt nie wie z pewnością. Jedni mówią, że śledzie odbywają takie wędrówki jak ptaki, to jest gdy im zabraknie żywności w jednem miejscu, przenoszą się w drugie; drudzy zaś mówią, że śledzie nie odbywają żadnych wędrówek, jeno dopóki są małe mieszkają na dnie morskiem, a gdy dorosną, gromadzą się w zbite masy i płyną do brzegów dla puszczenia ikry.

Niezliczone to wojsko płynie zawsze w największym porządku i tworzy jakoby klin. Najprzód płynie samiczka, tuż za nią dwóch samców, dalej cztery samiczki, za niemi ośm samców, potem szesnaście samiczek itd., a wszystkie te szeregi są tak zbite, że chociaż wieloryby, psy morskie, wszystkie ryby żarłoczne a nawet ptaki drapieżne porywają ich wiele, łańcuch się nie psuje.

Sieci do łowienia śledzi używane są ogromnej wielkości, mają po tysiąc łokci długości a nawet i więcej; obciążone kamieniami, zanurzają się do wody ale tak, aby ich brzegi było widać nad wodą, to zaś tak się robi, że do brzegów sieci przywiązują się beczki próżne, dobrze zatkane i te beczki pływając po morzu, nie dają sieci utonąć.

Ludy nadmorskie karmią się śledziami Bóg wie od jak dawnego czasu, ale sztuka solenia dopiero przed czterystu laty wynalezioną została. Gdy się śledzie u brzegów pojawią, zaraz tysiące rybaków płyną na ich połów, a raźno, a wesoło, bo to ich żniwo. Złowione śledzie wyciągają zaraz na brzeg, wykrawają z nich nożyczkami wnętrzności i tak wytrzewione solą i w beczki pakują.

Tysiące ludzi mają przy tem zarobek, toż rybacy szanują wielce pamięć owego człowieka co wynalazł sztukę solenia śledzi. Jeden cesarz niemiecki Karol V. płynął raz morzem ze swoją siostrą, królową węgierską i licznym dworem. Ujrzawszy miasto na brzegu, zapytał się cesarz człowieka, który okrętem kierował, co też w tem mieście jest godnego widzenia?

— W tem mieście nie ma nic takiego, odpowiedział żeglarz, ale jeżeli Najjaśniejszy Pan zechcą popłynąć jeszcze milkę po za miasto, to znalazłoby się tam coś godnego widzenia, grób Wilhelma Bajkelsa. Gdy żeglarz wymawiał to imię, zdjął z uszanowaniem kapelusz.

— Cóż to za Bajkels? zapytał cesarz.

Żeglarz się zaczerwienił, zabolało go to pytanie; nie mógł pojąć jak komu, a tem bardziej cesarzowi może być obcem to imię, które dla każdego rybaka tak jest drogiem.

— Najjaśniejszy Panie, rzekł w końcu, Wilhelm Bajkels, to ten wielki człowiek, co wynalazł sztukę solenia śledzi.

— I sztukę wędzenia ich, dodał inny rybak.

Na to odezwał się cesarz:

— Chwała człowiekowi, co tak pożyteczną sztukę wynalazł i dał chleb tylu tysiącom swoich bliźnich. Zaiste, zasłużył sobie abym jego grób odwiedził.

Jakoż cesarz kazał zaraz płynąć w tę stronę, a skoro wysiadł na ląd, ukląkł na grobie Bajkelsa razem ze swoją siostrą i całym dworem i tam modlił się długo, a potem wszyscy zjedli śledzia na cześć wynalazcy solenia i wędzenia śledzi. Rybacy zeszli się tłumnie na ten widok i nie posiadali się z radości, że cesarz uczcił tego człowieka, którego imię oni z takiem wymawiali uszanowaniem.

# Mniemany strach.

Raz koło Wielkiej Nocy, byłem świadkiem następującego wypadku w jednej wiosce na Podlasiu.

W ubogiej chatce wieśniaczej umarł ojciec a potem matka i zostało się czworo dzieci, z których najstarszy chłopiec ledwie miał lat 15. Wkrótce po śmierci matki, rozchodzi się wieść po sąsiadach a potem i w całej parafii, że zmarła matka przychodzi każdej nocy do chaty, odwiedza dzieci, rozporządza im robotę, spożywa reszty wieczerzy na kominie i chleb, a obszedłszy kilka razy całe gospodarstwo — znika. Takiej wieści uwierzyła prędko cała parafia. Nadeszła Wielkanoc, i o dziwo! zmarła matka przyszła w nocy do dzieci, zjadła połowę święconego ze stołu, a resztę zabrała z sobą. Przestraszone dzieci powpraszali się do sąsiednich chat na nocleg, tylko został sam opiekun, który wyznaczony był testamentem ojca — i rozpowiadał, że codziennie ów duch nawiedza chatę. Biedne sieroty w tej zgryzocie biorą trzech chłopów za świadków i idą na cmentarz, aby się przekonać czy grób w całości. W samej rzeczy w mogile był nie wielki otwór a przy nim leżały kosteczki, łupiny z jaj i okruszyny chleba. Przerażeni ludzie pozbierali to wszystko i zanieśli do proboszcza swojego aby się poradzić co począć i jak się uwolnić od nocnego stracha. Ksiądz Proboszcz, człowiek wiekowy i szanowany, z razu uniósł się trochę bo przykro mu było słyszeć, że jego parafianie takim baśniom wierzą, ale ochłonąwszy zaczął ich przekonywać, że nikt z umarłych po świecie nie chodzi, że albo im się tak zdaje albo może kto z żyjących przybiera postać zmarłej kobiety i dla lepszego świadectwa położył te odrobiny na mogile. Lecz ani gniew ani przełożenia dobrego proboszcza nie pomogły — jak to zwykle bywa gdy światły i pobożny perswaduje nierozumnemu a upartemu i zabobonnemu. Dzieci raz wystraszone nie chciały ani wracać do chaty — wieść o zmarłej rozeszła się już z wielką wiarą po całej okolicy, a księdza ogłoszono za niedowiarka. Gdy to doszło do uszu jego — w następującą

niedzielę wychodzi z kazaniem i zaczyna rzecz o zabobonach, i w prostych ale przekonujących słowach dowodzi, że kto takie wieści rozsiewa i sam w nie wierzy, a przez to trwoży biedne sieroty i bez przytułku je zostawia, powinien się spodziewać kary bożej na siebie — Kazanie było śliczne i przemówiło do serc. I otóż od tej niedzieli ustały jakoś wieści o zmarłej kobiecie, tylko gadatliwe baby nie mogąc sobie wytłómaczyć dla czego już nie chodzi nieboszczka, utrzymywały, że się kazania zlękła. — W parę tygodni jednak pokazało się, że sam opiekun straszył biedne sieroty chcąc panować swobodnie w domu, — on to przywdziewał szaty zmarłej kobiety, i położył dla poznaki resztki święconego na mogile.

Pokazała się prawda słów proboszcza i fałsz zabobonów. Wszystkie one fałszywe i przeciwne Panu Bogu; daj Boże aby je lud wiejski prędko odrzucił jako wielką ciemnotę i grzech

# RÓŻNOŚCI.

*Dobra wiara.* Nigdzie może dobra wiara i uczciwość nie są tak w ludziach ugruntowane jak w niektórych stronach jednego górzystego kraju, który się zowie Szwajcarj . Nieraz karczmarz szwajcarski musi opuścić swój dom na kilka dni, wówczas zaś nie zamyka go, ale zostawia otworem dla podróżnych, bez żadnego dozoru. Podróżny znajduje to wszystko czego mu potrzeba i kartkę na której jest wypisane ile co kosztuje. Jeżeli co zje albo wypije, zostawia pieniądze na stole i niema przykładu aby co zginęło. Podróżni co tam byli przed kilkunastu laty opowiadają, że każdemu wędrowcowi wolno wejść do jakiegobądź ogrodu i zjeść tyle owoców ile mu się podoba, a gospodarz za nic w świecie nie przyjąłby za to zapłaty. Trzeba też wiedzieć, że każdy Szwajcar nie tylko umie czytać, ale co większa lubi czytać, i nie nowina tu znaleść prostego chłopa, który i gazetę prenumeruje i książki skupuje, a gdzie wszyscy tak się garną do oświaty, tam musi być uczciwość.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.